Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 13.
dnia 27. Lutego 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . . 2 zł.
półrocznie . . . . 3 zł.
rocznie . . . . 7 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

(Ciąg dalszy).

W tym czasie zjechali do Starejwsi Ryszarda przyjaciele paryzcy. Między nimi był tylko jeden Stanisław kawalerem; inni w liczbie siedmiu mieli żony i dzieci. Ryszard wziął Stanisława do swego pokoju, dwóch z rodzinami pomieścił we dworze, resztę w pokojach gościnnych. Bojąc się żeby rządca nie myślał, że pan Lachocki będzie musiał łożyć na utrzymanie tylu ludzi, dał mu zaraz kwotę znaczniejszą z własnej kieszeni, przyczem go prosił, żeby kuchnia dla jego gości była przyzwoita.

Pana Gozdawę ucieszył widok tylu dzielnych rzemieślników.

— Oto mi mosterdzieju ludzie! Najpierw orali swój zagon, potem sercuńciu jak tego ojczyzna zażądała bili moskala, a teraz aby nikomu nie być ciężarem, pracują ciężko na kawałek chleba. To mi ludzie mosterdzieju, takich nam w kraju potrzeba. Gdyby wszyscy tak postępowali, inaczej by Galicja wyglądała. Mielibyśmy przemysł, fabryki, a wtedy sercuńciu i gospodarzowi lżej by było. Mój Ryś ma serce i rozum, skoro takich ludzi kocha i proteguje.

Ryszard tymczasem bawił w stolicy aby dla każdego z nich znaleźć dobre pomieszczenie. W jego nieobecności ojciec bawił ich i podejmował z gościnnością prawdziwie staropolską. Zrobiwszy raz spostrzeżenie, że nie piją chętnie wina węgierskiego, od kilkunastu bowiem lat pijali tylko lekkie francuskie, kazał natychmiast zaprządz i co koń wyskoczy popędził do miasta powiatowego. Tu najpierw zakupił wszystko wino francuskie jakie w sklepie znalazł, następnie wysłał dwie depesze, pierwszą do Paryża, drugą do Bordeaux. W pierwszej żądał od znajomego sobie kupca raków morskich, homarów, wędzonego łososia, beczółkę kawioru i innych przysmaków, w drugiej dwie beczki wina, w cenie od 300 do 400 guldenów każda. Przy końcu depesz dodał, żeby żądane przedmioty były wysłane *par grande vitesse*. Co do rachunku, ten miał być zapłacony na kolei przy odbiorze posyłek. Obliczywszy, że tak jedno jak drugie nadejdzie do pięciu dni najpóźniej, wrócił do domu w najlepszym humorze.

Ryszard jakoś nie przyjeżdżał. Wprawdzie w liście do Stanisława pisanym upewniał przyjaciół, że co do ich pomieszczenia jest na drodze najlepszej, i od początku do końca usiłował w czytającego wlać otuchę, że co pisze jest z prawdą zgodne, lecz z tem wszystkiem niezbyt nawet biegły stylista mógł się między wierszami czegoś wręcz przeciwnego domyśleć.

Na trzy dni przed powrotem syna pan Gozdawa otrzymał z kolei uwiadomienie, że z Paryża i Bordeaux przyszły do niego przedmioty, za które należy się razem 1150 guldenów. Uradowany posłał po rządcę pana Lachockiego. Gdy ten przyszedł, rzekł:

— Niech acan wyszle zaraz dwie fornalki na kolej, bo tam mosterdzieju różne rzeczy dla mnie przyszły. Jeźli możesz sercuńciu, sam z niemi pojedź i toby mi było najmilej, a jeżeli czas ci nie pozwala, poszlę mego Franka. On mosterdzieju ma także głowę nie od parady.

— Czy należy się co kolei?

— Bagatelka sercuńciu... tysiąc sto pięćdziesiąt guldenów. Jeźli acan nie pojedziesz, Franek weźmie pieniądze.

Rządca odszedł i w pół godziny wrócił z oświadczeniem, że wozy są gotowe i sam z niemi pojedzie.

— To bardzo pięknie sercuńciu... prawdziwą mi tem sprawiasz przyjemność... Franek to moja prawa ręka, jak go w domu nie ma, zaraz mi czegoś brakuje. Spiesz się tylko mosterdzieju, żebyśmy jeszcze na objad mogli mieć łososia. Bo powinieneś wiedzieć sercuńciu, że ci ludzie choć niepokaźnie wyglądają, delikatne mają podniebienia. W Paryżu łatwo sobie smak popsuć, bo tam pełno dobrych rzeczy. Do widzenia!

Pan Gozdawa skończywszy był pewny, że rządca zabierze się i pojedzie; on jednak z miejsca się nie ruszył, jakby chciał co powiedzieć, lub co więcej usłyszeć.

— I czegoż acan stoisz?

— Chciałem prosić o pieniądze.

— O jakie pieniądze sercuńciu?

— Na wykupienie tych rzeczy na kolei.

— Cóż to mosterdzieju ja mam dawać pieniądze? Przecie w kontrakcie stoi czarne na białem, że pan Lachocki ma mnie przyzwoicie utrzymywać, a wino i te drobiazgi sercuńciu, które z Paryża zapisałem należą do utrzymania.

— Przepraszam wielmożnego pana... Gdyby dom tyle kosztował, wszystkie dochody Starejwsi szłyby tylko na jego utrzymanie, i kto wie czyby nawet wystarczyły.

— Co acan znowu pleciesz... Przecie ja mosterdzieju codzień takich wydatków nie robię... Wyjątkowo mam gości, więc muszę ich przyjąć po obywatelsku. Gotowiby jeszcze powiedzieć sercuńciu, żem sknera i dusigrosz.

— Bardzo mi przykro wielmożny panie — rządca odparł stanowczo — że bez wyraźnego rozkazu pana Lachockiego tak wielkiej kwoty nie mogę wydać. Chociaż zdaje mi się, że i pan Lachocki na to nie przystanie.

— Co to nie przystanie, mosterdzieju, kto mi się tu będzie sprzeciwiał?! Ja tu pan, ja Władysław Gozdawa, a nie jakiś tam dorobkiewicz, który u mego ojca stał przy drzwiach. Jak długo mosterdzieju dokuczaliście tylko mnie samemu, byłem cicho, ale odkąd zaczynacie moim gościom ubliżać, przekonacie się że się nie dam zjeść w kaszy. A cóż to sobie myślicie, że to kuratela, czy co? Jeżeli acan nie dasz zaraz pieniędzy, jakem Gozdawa mosterdzieju każę cię za bramę wyrzucić.

Pan Gozdawa był już zły, skoro ani jeden raz „sercuńciu“ nie powiedział. Rządca atoli, człek z natury zuchwały, nie wiele sobie robił z jego gniewu i gdy skończył hardo mu odpowiedział:

— Minęły już te czasy, kiedy ludzi porządnych za bramę wyrzucano. Dziś dzięki Bogu mamy sądy.

— Co, sądy? Ja tu sędzia, ja tu pan! — krzyknął z gniewu czerwieniejąc. — Franek! zawołaj mi tu zaraz Jana i kogo tylko mosterdzieju znajdziesz w podwórzu. Nauczę ja go rozumu!

Podczas gdy pan Gozdawa takie rozkazy wydaje i z gniewu sinieje, nadjeżdża pan Lachocki i ani się domyślając co tu zaszło, pyta rządcę o przyczynę awantury. Ten w kilku słowach wszystko mu opowiedział.

— Przykro mi szanowny sąsiedzie — przemówił pan Lachocki — lecz muszę pochwalić postępowanie mego rządcy, który trzyma się ściśle kontraktu. Jedno tylko zganię mu zaraz, mianowicie, że gotów był dać dwie fornalki na cały dzień, w czasach tak roboczych. To było lekkomyślnie z pańskiej strony — dodał, ku rządcy się obracając — i mam nadzieję że się więcej nic podobnego nie powtórzy.

— Więc i sąsiad przeciwko mnie? — zawołał pan Gozdawa.

— Przeciwnie... Pracując dla dobra szanownego sąsiada, jedynie takich rzeczy nie spełniam, które majątku nie powiększają, lecz go do reszty rujnują.

— Jeżeli tak mosterdzieju, to wynieście się obadwa! Chociaż to niegrzecznie z strony gospodarza tak gości swoich wypraszać, trudna jednak rada. Ja w moim domu nie pozwolę się znieważać mosterdzieju!

— Nie mam nic przeciw temu szanowny sąsiedzie — pan Lachocki odpowiedział jak zawsze słodziutko — i jeszcze dziś wszystko się skończy, jeźli tylko szanowny sąsiad dotrzyma zobowiązań, przyjętych na siebie w ustępie siedmnastym naszego kontraktu. Według niego musi szanowny sąsiad, w razie własnowolnego zerwania kontraktu, zwrócić mi natychmiast wszystkie moje wkłady, nadto zapłacić 5000 guldenów za mój trud bezowocny.

— Zapłacę, zapłacę...

— A my po otrzymaniu pieniędzy zaraz się

wyniesiemy. Panie rządco, ile po dziś dzień mogą wynosić moje wkłady?

— Dwadzieścia siedm tysięcy.

— Z remuneracją będzie zatem trzydzieści dwa.

Podczas gdy pan Lachocki tak mówił, ojciec Ryszarda plan sobie ułożył, a że nigdy nie odwlekał co raz postanowił, więc niezwłocznie kazał zaprządz. Gdy wózek zajechał, wsiadł szybko jak młodzieniec dwudziestoletni i zawołał:

— Do Woli Ludaczowskiej! Tylko prędko!

Jechał więc do pana Jakóba Sterna. Ten ani przypuszczał, jaką dnia tego będzie miał wizytę. Siedząc w swojej kancelarji rozmawiał właśnie z dwoma żydkami, z których jeden był arendarzem, drugi wydojnikiem w Starejwsi.

Stern, odkąd w tych stronach zamieszkał, miał zwyczaj przynajmniej raz w tygodniu widzieć się z arendarzami całej okolicy; niekiedy widywał także wydojników, którzy po dworach mleko od krów dzierżawili i prostych faktorów, którzy zwykli pośredniczyć między szlachtą a kupcami zboża lub bydła. Tych ostatnich wyszukiwał w miasteczku; pierwsi odwidzali go sami u niego w domu. O czem z tymi ludźmi rozmawiał nie mogliśmy dociec, zawsze bowiem porozumiewał się z nimi w cztery oczy, przyczem używał szwargotu żydowskiego, którym my nie władamy. Taktykę zmieniał dopiero wówczas, gdy ich kilku naraz miał u siebie. Wtedy aby im okazać, że w rzeczy samej jest *ein fein gebildeter Mann* przemawiał czysto po niemiecku i tylko czasem, jakby przez zapomnienie, wtrącał żydowskie frazesy.

Snać tego dnia narada była długa i ważna, skoro arendarz i wydojnik kilka razy czoło z potu obcierali, a i sam pan Stern wyglądał jakby znużony.

— Ty Icku będziesz więc dalej pilnował — kończył zwracając się ku swoim gościom — a ty Moszku zrobisz jakeśmy się umówili. Gdy już póty wlezie — tu palcem na gardło pokazał — dam ci dwa tysiące, które mu pożyczysz. Procentem podzielimy się sumiennie, przecie ty mnie znasz Moszku! do rabina nie pójdziemy. Pamiętaj tylko aby w akcie notarjalnym były jak największe obostrzenia... Ja widzisz takich rzeczy nie mógłbym czynić, bo mi nie wypada, ale ty Moszku, ty wszystko możesz!

Właśnie gdy ostatnie słowo wymówił, pod oknem coś zaturkotało i przed gankiem zatrzymał się wózek z panem Gozdawą. Stern zobaczywszy go, zwrócił się jak oparzony ku swoim gościom, i pokazując na drzwi do dalszych pokojów prowadzące, zawołał:

— Idźcie tędy, potem przez kuchnię i ogród!

Z temi słowy oburącz przed sobą ich popychał, a gdy wyszli drzwi za nimi zatrzasnął. Czas był najwyższy. W tejże chwili drzwi od przedpokoju na oścież otwierając ukazał się pan Władysław Gozdawa.

Z gniewu jeszcze nie ochłonął; twarz miał czerwoną jak piwonja, jeden wąs był do góry nastrzępiony, drugi w nieładzie zwisał; widocznie jadąc musiał go targać niespokojnie. Gdy wszedł, pełną piersią wciągnął powietrze, potem siadł na krzesło najbliżej stojące i zawołał:

— Ratuj mnie kochany sąsiedzie, bo inaczej wezmą mię djabli mosterdzieju!

— Co panu jest? — zapytał Stern udając, jakby się niczego nie domyślał.

— Co mi jest mosterdzieju, ach! Boże! czy może być co gorszego. Wiesz przecie sercuńciu, że z tym dusigroszem Lachockim, zawarłem umowę o administrację Starejwsi.

— Wiem, wiem — przerwał Stern kręcąc głową w sposób dający wiele do myślenia.

— Otóż mosterdzieju oddałem mu wszystko w ręce, uważając to za rzecz sąsiedzką. Dziś on mnie pomaga, mogę ja jutro jemu...

— Pewnie, — żyd znowu wtrącił. — Pan taki uczynny, że podobnego daleko trzeba szukać.

— Lecz posłuchaj sercuńciu jak na tem wyszedłem. Zaledwie ten dorobkiewicz usadowił się w Starejwsi, zaczął natychmiast tak postępować, jakby to jego był majątek nie mój.

— Słyszałem, słyszałem... Najpierw sprzedał wszystkie indyki.

— Tak jest sercuńciu.

— Potem konie cugowe i wierzchowe.

— Rzeczywiście sercuńciu!

— I nie chciał tam siać pszenicy gdzie pan kazał.

— Słowo w słowo prawda, mosterdzieju! Ale kto ci to kochany sąsiedzie tak szczegółowo te rzeczy opowiedział? Tak wszystko wiesz, jakbyś w Starejwsi mieszkał.

— Przecie o tem mówi cała okolica i każdy się śmieje.

— Coś pan powiedział, śmieje się? Jeszcze mosterdzieju tylko tego brakowało!

— Pewnie że się śmieje, bo nikt nie może zrozumieć, czemu pan Gozdawa taki światły obywatel dobrowolnie oddał się w kuratelę.

— Więc nawet mówią, żem się oddał w kuratelę! Czy to ja mosterdzieju zwarjował, czy co? I to komum się oddał, komu?!

— Takiemu grubjanowi — żyd uzupełnił — chciwemu grosza dorobkiewiczowi, który delikatnie myślącego człowieka nawet zrozumieć nie umie.

— Święta prawda kochany sąsiedzie, święta. Posłuchaj tylko sercuńciu co on mi dziś zrobił.

Tu pan Gozdawa znowu głęboko odetchnął, poczem ile możności spokojnie opowiedział ostatnią awanturę z panem Lachockim i jego rządcą. Stern współczuł jego niedolę, niekiedy aż za głowę się chwytał, w końcu tak przemówił:

— Ja od razu wiedziałem, że pan na tem dobrze nie wyjdzie, ale nic nie mówiłem, żeby pan przypadkiem nie myślał, że ja taki sam jak Lachocki... Ja takich szachrajskich interesów nie umiem robić. Nie dałbym za to grosza, że on na tej drodze chciał przyjść w posiadanie Starejwsi. Myślał sobie, jak mu dobrze dokuczę, to co bądź weźmie odstępnego i odda mi majątek.

— Tak i mnie się zdaje mosterdzieju!

— Dam gardło że nie miał innego zamiaru... Ale dobrze tak panu... Jak Stern chciał dawać z przyjaźni ośm tysięcy, któremi byłby pan sobie pomógł, to pan mówił, ze moje warunki są wygórowane... No Lachocki lżejsze postawił, prawda?

— Niech go jasny piorun trzaśnie mosterdzieju z jego warunkami! Największy wróg nie mógłby haniebniej postępować.

— Ale on sąsiad, przyjaciel, ja zaś prosty żyd...

— Sercuńciu, kochasiu! — zawołał pan Gozdawa na równe nogi się zrywając — przecie ja o panu nigdy tak nic mówię. Jeżli kogo, to Sterna uważałem zawsze za jednego z najporządniejszych obywateli, za człowieka mosterdzieju, którego innym na wzór stawiać należy. Przyznaję się do winy, żem układ o pszenicę zerwał samowolnie, lecz ten Lachocki tak mnie wtedy otumanił, że doprawdy sercuńciu sam nie wiedziałem co robię. Teraz jednak chciałbym złe naprawić i dla tego przyjechałem tu do kochanego sąsiada. Zlituj się nademną i uwolń mnie od tego dusigrosza.

— Jak ja to mam uczynić? — zapytał żyd ciekawie.

— Jak chcesz sercuńciu, bylem tego człowieka nie widział więcej u siebie. Najlepiej mosterdzieju będzie, jeźli zapłacisz, co mu się z rachunków należy i sam wejdziesz w jego prawa.

Stern usłyszawszy to do okna się obrócił. Lubo należał do ludzi umiejących nad sobą panować, wrażenie jakiego teraz doznał, było tak gwałtowne, bo niespodziewane, że aby je ukryć, musiał odwrócić się od swego gościa. W oku mu zamigotał ogień złowrogi, usta drgnęły i palce u rąk nieznacznie się poruszały. Udawał że się namyśla. Dopiero gdy się całkiem uspokoił, pokazał gościowi twarz jak dawniej obojętną i przemówił:

— Ja się w takie rzeczy nie wdaję... A zresztą choćbym i chciał panu dopomódz, musiałbym się wpierw namyślić. To interes bardzo wielki...

— Nie namyślaj się kochany sąsiedzie, tylko ratuj mnie w mojem udręczeniu. Dałem sobie słowo mosterdzieju, że nie wrócę do domu bez pieniędzy dla Lachockiego i choćby się świat miał zapaść, dotrzymam słowa.

Stern znalazł się tedy w obec człowieka, którego jednym zamachem mógł zniszczyć. Znając pana Gozdawę wiedział, że wszelkie warunki jakie mu teraz postawi, przyjmie bez namysłu, w tej bowiem chwili najbardziej mu Lachocki dokuczał, więc aby go się pozbyć, gotów był podpisać na siebie nawet wyrok śmierci. Stern nie chciał atoli w ten sposób korzystać z przykrego położenia sąsiada. Interes mówił mu, że powinien grać rolę wspaniałomyślnego. Prędko też sobie cały plan ułożył, lecz że przy jednym ogniu chciał upiec dwie pieczenie, więc zanim powiedział, że na propozycję przystaje, wpierw zapytał:

— Niech mi pan z łaski swej powie, jak to się robi, jeźli się kto chce pojedynkować?

— Jak się robi? Posyła się mosterdzieju swemu przeciwnikowi jednego lub dwóch świadków i żąda się od niego satysfakcji.

— No a potem?

— Potem zbierają się wszyscy w miejscu umówionem i jeden drugiego mosterdzieju pal w łeb albo w brzuch!

Stern o krok się cofnął.

— To tylko wtedy tak — podchwycił — jeźli pojedynek jest na pistolety... Ale mój sekretarz mówił mi wczoraj, że za mniejszą obrazę zwykli się panowie pojedynkować na pałasze.

— Rzeczywiście tak jest, chociaż ja sercuńciu pojedynek na pałasze za nic uważam. Wielka mi historja, jeźli jeden drugiego draśnie scyzorykiem lub mu pałasz z ręki wytrąci.

— A jak mu wytrąci, to wtedy także koniec?

— Pewnie sercuńciu. Jak mu pałasz wytrąci, to go rozbroi, a kto raz rozbrojony, tego przecie mosterdzieju rąbać nie można, boby to było morderstwo. Ale na co panu tych szczegółów?

— Bo to widzi pan dobrodziej, ja mam z naszym starostą mały interesik do załatwienia.

— Słyszałem coś o tem, słyszałem...

— Otóż teraz chciałbym go wyzwać na pałasze, a pana proszę na sekundanta.

Pan Gozdawa oczy wytrzeszczył i chwilę siedział jak posąg nie mogąc przyjść do słowa.

— Co? co? pan się chcesz pojedynkować? — nareszcie zapytał.

— Tak jest! Kiedy mnie obraził, niech odpowiada. Jeżeli pan przyjmie moją propozycję, jeszcze dziś zapłacę Lachockiego.

— Ależ kochany sąsiedzie, przyjmuję z serca całego! Dotąd nie przypuszczałem mosterdzieju, żeby izraelici mogli być odważni, lecz teraz przekonywam się namacalnie, że nie daremnie nazywasz się pan Polakiem mojżeszowego wyznania. Polak mosterdzieju zawsze bił doskonale, bo już taka jego natura. Przyjmuję sercuńciu, przyjmuję i pojutrze pojadę do Zygmusia. Wprawdzie on starosta, więc może będzie mu trudno przyjąć wyzwanie, ale ja mu to wytłumaczę. Przecie mosterdzieju dla tego że został urzędnikiem, nie przestał być Polakiem i szlachcicem. Ręczę że się będzie bił!

Pan Gozdawa nie potrzebował już długo układać się ze Sternem. Porozumiawszy się co do głównych punktów siedli na wózek i co koń wyskoczy pojechali do rejenta. Ten chciał naszemu przyjacielowi robić jakieś uwagi, lecz pan Gozdawa do słowa go nie dopuścił. Gdy z dokumentem w kieszeni do Starejwsi jechali, Stern przemówił:

— Komornik myśli, że ja pana zjem, on nie wie, że ja pański przyjaciel. Ja z pewnością nie będę tak postępował jak ten grubian Lachocki! Ile tylko będę mógł, będę dawał, bo to przecie pański majątek.

Pan Gozdawa podziękował mu wymownym ręki uściskiem.

Tegoż dnia nad wieczorem pan Lachocki otrzymawszy całą należytość, odjechał do domu ze swym rządcą, Moszko zaś arendarz z polecenia Sterna objął Starąwieś w administrację. Stern tak był delikatny, że gdy Moszka do dworu sprowadził, powiedział mu w przytomności wszystkich domowników, aby był zawsze posłusznym rozkazom dziedzica, gdyż tylko on jest tu panem.

Nazajutrz pan Gozdawa częstował swoich gości przy objedzie rakami morskiemi i doskonałem winem francuzkiem, a gdy pomyślał, że rzeczy tak ważnej dokonał szczęśliwie przed powrotem Ryszarda, nie posiadał się z radości.

Przy czarnej kawie Franciszek przyniósł mu list na srebrnej tacy. Pochodził od pana Lachockiego i brzmiał jak następuje:

„Wielmożny Mości Dobrodzieju! Żądając w zawartym między nami kontrakcie, abyś mi Pan Dobrodziej na przypadek samowolnego onegoż zerwania, wypłacił 5000 guldenów, chciałem tem poniekąd zmusić Pana Dobrodzieja do iścia ze mną ręka w rękę i pracowania dla własnego dobra. Gdy jednak nadzieje mnie zawiodły i Pan Dobrodziej, chętniej i prędzej, niżem się tego spodziewał, wypłacił mi owe 5000 guldenów, przeto aby nikt nie sądził, żem tych pieniędzy dla siebie potrzebował, odsyłam je dla ubogich stolicy, o czem temi dniami pisma publiczne doniosą. Proszę przyjąć wyrazy należnego szacunku, z którym zostaje WPana Dobrodzieja powolny sługa Grzegorz Lachocki.“

Pan Gozdawa zmiął list i z najwyższem oburzeniem na ziemię go rzucił.

— Patrzcie mosterdzieju, co to za zuchwalec! Nie dość że mnie męczył, teraz bawi się jeszcze w filantropa. Doprawdy gotów kto pomyśleć, że mi łaskę robił. A więc kiedy ty mosterdzieju porzucasz się memi pieniądzmi, ja ogłoszę w dziennikach, że mnie Stern bezinteresownie z twoich szponów uwolnił. Tak jest, niech cały świat wie, mosterdzieju, że lepszy żyd niż taki sąsiad!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Pan de Rosey cierpiał widocznie z powodu tego oporu synowskiego, ale nim był dumny. Pochwycił jego ręce, przyciągnął go do siebie i powiedział:

— Abyś ją zaślubił, potrzeba będzie zezwolenia tej kobiety.

— Naturalnie! — przerwała pani Bardin.

— Nie było sądowego rozwodu. Pani de Moranes zachowała wszystkie swe prawa do córki. Byłaby potrzebną do podpisania intercyzy ślubnej. Czy mógłbyś jej zabronić tego? Nazajutrz zaś po ślubie, czy mógłbyś zamknąć twoje drzwi przed nią? Oto moje dziecię, ważna przeszkoda, o której twoi rodzice, dbający o honor i szczęście swych dzieci, więcej, niż o swe własne, muszą myśleć i tobie ją przedstawić. Nie chodzi tu tylko o wymagania i przesądy światowe; ale to zagraża moralności, godności twego ogniska domowego. Miałbym odwagę stawić czoło przesądom; nie mam prawa zwalniać cię od praw socjalnych.

— Dziękuję ci, mój ojcze za twoją dobroć; ale i to mnie nie przekonywa — odparł dumnie Fryderyk. — Gdy zaślubię Blankę, będę pewnym jej niewinności, jak i prawości pana de Moranes. Jest to sławny powszechnie szanowany uczony. Dumnym będę, gdy zostanę synem jego i opiekunem Blanki. Reszta nie obchodzi mnie wcale. Jeżeli potrzeba, abym zniósł obecność tej kobiety niegodnej, zniosę ją, ale to, co tak samo jej, jak nam prawo nakazuje, to nie zniewala jeszcze ani do wdzięczności, ani do przebaczenia. Tak gdyby tego była potrzeba, wypędziłbym ją, jak mąż ją wypędził; zabroniłbym jej niepokoić sumienie żony mojej. Zrobiłbym to z zimną obojętnością. Widzisz zatem ojcze, że nie obawiam się niczego, i że ty się niczego obawiać nie potrzebujesz!

— Gdyby ta przestępna matka słyszeć cię miała — szepnęła pani Bardin składając ręce.

— Niesłusznie byś postąpił — rzekł łagodnie pan de Rosey.

— Jednakże, mój ojcze...

— To właśnie dla tego, abyś nie był wystawiony na popełnienie tej niesprawiedliwości, obawiam się tego małżeństwa.

— Nie rozumiem tego.

— Pani Bardin mnie zrozumie, — mówił dalej pan de Rosey. — Ona ci powie, że byłbyś sędzią jednostronnym. Jeżeli można usprawiedliwić tę kobietę, która upadła, to tylko mąż zrobić to może; jeżeli można ulitować się nad jej boleścią, to do dzieci należy. Byłoby to niebezpiecznem dla wszystkich, dla pana de Moranes, dla jego córki, dla jego syna, dla jego żony nawet, która poprawić się mogła. Według powszechnej opinji nieszczęśliwa ta zasługuje na pogardę, a kto wie, czy nie podałbym jej ręki!

Pan de Rosey mimowoli wyciągnął rękę, a pani Bardin pociągnięta współczuciem zapewnie, wyciągnęła swoją ku niemu. Ich palce złączyły się.

— Widzisz mój synu, że pani Bardin zgadza się ze mną. Ona wie, że zanim się potępi kobietę upadłą, trzeba zbadać walki, jakie przeszła, cierpienia, jakim ulegała. Tak moje dziecię, najtrudniej w świecie wykryć i ocenić prawdę. Ja założyłem ten dom, aby w nim wychować dzieci na uczciwych członków rodziny. Ah! gdybym był dość bogatym, dosyć potężnym i młodszym, założyłbym schronienie dla kobiet upadłych, którebym na dobrą drogę sprowadził... ale to jest utopią!

Pan de Rosey, który, jak już wspomniałem, przypominał Karola X. ze swemi trochę grubemi i drżącemi usty, był w tej chwili majestatycznie wzniosłym; syn patrzał nań z podziwem, a pani Bardin powstała i mało co nie klękła przed nim zalana łzami.

— Co pani robisz? co pani? — zawołał wstrzymując ją, zadziwiony.

— Ah! panie, jak jesteś dobrym! — szepnęła pani Bardin. Pan de Rosey uśmiechał się, aby się nie rozpłakać w obec tego zachwytu, jaki spowodował, podczas kiedy chciał tylko przekonać; zmusił panią Bardin do zajęcia miejsca, a spoglądając na syna zapytał:

— Czy i ty tak sądzisz? Czy uważasz mnie za dobrego, gdy ci serce rozdzieram, aby ci wykazać prawdę? — Fryderyk olśniony tą wyższością i czułością ojca wybuchnął płaczem:

— No, no! powróćmy do rozsądku — rzekł dobrodusznie prezydent; — bo rozsądkiem się w tym razie rządzić musimy. Zawiniłbym jako ojciec, gdybym ci nie przedstawił, moje dziecię, całego zła, jakie wyrządziłbyś tej rodzinie, gdybyś ją zmusił do wyznania publicznego hańby. Nie wyrzucam ci, żeś oddał serce bez naszego zezwolenia. Szanuję cię i cenię za to, że idziesz za popędem własnego serca. Byłoby to dla nas radością, nagrodą, gdybyśmy mogli pobłogosławić twoją żonę, jak błogosławimy ciebie i powiedzieć ci: przyjmujemy za córkę tę, którą wybrałeś. Nie wolno nam zagradzać ci przyszłości, jednak nasze doświadczenie, miłość i przezorność każe cię ostrzedz. Czekajmy zatem!

Pani Bardin przyszła do siebie. Po kilka kroć przesuwała ręką po czole i oczach, aby się nie zdradzić; poprawiła się na fotelu i wyrzekła:

— Chciałabym, aby pani de Moranes słyszała pana. Poradziłbyś jej pan co ma zrobić, wskazałbyś obowiązek, może ostatnią ofiarę, jaką spełnić powinna.

— Jaką ofiarę?

— Tę, aby nie żądała przebaczenia od męża swej córki.

— Ale ja nie chciałbym, aby mój syn ją potępił.

— Pozwól pan na jedno zapytanie. Czy prawo po pewnych latach nieobecności, zniknięcia żony i matki, nie może pozwolić mężowi i dzieciom, aby uważali ją za cywilnie umarłą?

— Owszem, pozwoli.

— Czemuż więc nie spróbować tego? Kto panu powiedział, że ta kobieta, która zniknęła, ukaże się? Jeźli nie umarła, zkąd pan wiesz, czy jej dobrowolne wygnanie nie jest tak dalekie i tak surowe, że nigdy, nigdy ślad jej się nie wynajdzie? Zapewne zmieniła nazwisko, opuściła kraj... wszystko potwierdza, że po dwunastu latach powzięła stanowczą decyzją. Albo — jak pan mówiłeś — żywi miłość, która jest silniejszą od jej żalu; albo pokutuje w jakim odległym zakątku Francji, za granicą może, nie wiem gdzie, za błąd, z którego się nie może oczyścić. W każdym razie są pewne dane, pewne przypuszczenia, że nigdy się już nie ukaże.

— Przypuszczenie — rzekł pan de Rosey — ale nie pewność.

— Prawda — mówiła pani Bardin chłodno i cicho — że gdyby ta nieszczęśliwa kobieta umarła, to załatwiałoby rzecz całą.

— Ah tak! — zawołał Fryderyk.

— Może już i myśl śmierci powstała w jej głowie.

Pan de Rosey rozwarł oczy, jak gdyby rzeczywiście potwierdzał życzenie syna, ale zarazem skinął reką, jakby odsuwał pokusę, życzenia śmierci występnej.

Pani Bardin spojrzała na Fryderyka czule z uśmiechem macierzyńskim. Podobał jej się ten niewinny egoizm i chciała go zadowolnić.

— Nic nie dowodzi, że ta kobieta nie umarła — dodała.

— Kazałem szukać w aktach cywilnych — odpowiedział pan de Rosey.

— Trzeba szukać dalej nie tylko we Francji. Ponieważ to jest jedyny ratunek, trzeba czynić poszukiwania... Ja sobie wystawiam, że ta kobieta istotnie nie żyje... Pan zasługujesz na to, panie Fryderyku, ażeby umarła...

Fryderyka mięszały te wyrazy. Jednak nie zaprzeczył im. Pomimo swej woli zarumienił się i spojrzał radośnie.

Pani Bardin powstała, to spojrzenie Fryderyka nagradzało ją. Znalazła najlepszą radę na wszystko.

— Wierzaj mi, kochany panie Fryderyku — rzekła z pewnem wzruszeniem macierzyńskiem — nie trać nadziei. Czekaj jeszcze czas jakiś. Kobieta, która ci zawadza, zapewnie sama sobie wymierzyła sprawiedliwość. Nie mówię, żeby się miała zabić, ale mogła umrzeć albo pojechać tak daleko, że ztamtąd już powrócić nie będzie mogła. Ameryka na przykład jest doskonałem schronieniem dla kobiet inteligentnych, emancypowanych, które pracą utrzymać chcą swe życie. Pani de Moranes o ile słyszałam, była dumną. Zapewnie chciała sama stanąć o swej sile, jeżeli wyratowała się z toni. Napisz do Ameryki, może zostawiła w jakim konsulacie wiadomość o sobie! Wszak jest rzeczą pewną, panie de Rosey, że gdybyś był przekonanym, iż nie może powrócić do Francji, w takim razie nie opierałbyś się temu małżeństwu.

Argument ten nie podobał się sędziemu, ale mógł tylko pozostać hypotezą dla uspokojenia Fryderyka, dla dodania mu hartu duszy, cierpliwości, wreszcie dla zyskania czasu.

— Bezwątpienia — odrzekł pan de Rosey — pani de Moranes jest największą przeszkodą.

— Oh! — zawołała pani Bardin — przeszkoda zasadzająca się na życiu kobiety nieszczęśliwej, przygnębionej smutkiem, dręczonej wyrzutami sumienia, nie może być wielką.

Wyrzekła to z ironią, która uraziła poczciwą serdeczność pana de Rosey.

— Wierzaj mi pani, że ja nie życzę sobie jej śmierci. .

— A więc oddalenie by panu wystarczało; ale jeżeli Opatrzność da panu lepszą cząstkę, przyjm ją bez pragnienia czegoś więcej. Przy zawarciu małżeństwa, gdy pisze się intercyzę, zważa się na „nadzieje“ to jest na zyski po śmierci. Czemużby tutaj, gdzie idzie o szczęście i honor, miałbyś pan nie cieszyć się temi nadziejami? Tak sądzę.

Pani Bardin zmiarkowała, że gorycz i ironia przebijały w jej słowach, to też dodała spiesznie:

— Nie jestem dewotką, panie Fryderyku, przyrzekam jednak panu, że z całej duszy modlić się będę za pannę de Moranes. Ponieważ nie trudzę nieba ciągłemi prośbami, więc ufam, że mnie wysłucha.

W tej chwili odezwał się dzwonek wzywający przełożoną do jakiejś czynności w szkole.

Skłoniła się panu de Rosey i uśmiechnęła się smutnie jak doktorzy przy łóżku chorych, a zwracając się do Fryderyka, rzekła:

— Bądź pan dobrej otuchy:

Objęła go spojrzeniem gorącem, jasnem i dodała:

— Gdybym śmiała!...

Chciała wyciągnąć doń ręce, ale mimowoli rozwarła ramiona.

Fryderyk rzucił się w jej objęcia.

Pani Bardin trzymała go w uścisku przez chwilę, przycisnęła usta do czoła młodego człowieka z miłością macierzyńską, a gdy się odsunęła od niego, była bardzo bladą. Wyrzekła tylko do pana de Rosey trochę pomięszana:

— Wybacz pan, ale zdawało mi się, że ściskam mego syna.

Jeszcze się skłoniła, otworzyła drzwi i wyszła, zostawiając ojca i syna zmęczonych ową walką, a ożywionych nadzieją, jaką śmierć mogła dać miłości.

XII.

W przedsionku pani Bardin zatrzymała się i tam zaledwie nie upadła. Przycisnęła obiema rękami czoło, aby nie pękło, odrzuciła głowę w tył ze stanowczością, jakiejby nikt po niej nie był się spodziewał; głębokiem westchnieniem zaczerpnęła świeżego powietrza, które napływało z parku i skierowała się ku stronie domu, gdzie małe dziewczynki pracowały w szwalni.

Szła krokiem pewnym, wyprostowana, pewna już siebie; jednak wola jej zachwiała się w obec tej gromadki, gdzie tyle miłości i uległości ją czekało.

Gdy weszła nastało głębokie milczenie w owym pokoju, w którym trzydzieści dziewczynek szyło. Nagle jakiś miły radośny spokój tutaj zawitał.

Wszystkie główki pochylone nad robotą podnosiły się, gdy się do nich pani Bardin zbliżała. Pewien magnetyzm, miłość macierzyńska zachęcała każdą uczennicę do uśmiechu na widok uśmiechniętej twarzy przełożonej.

Ona tego dnia była jeszcze więcej dla nich serdeczną. Nie przemówiła ani słowa do żadnej, bo wymagając milczenia nie łamała go sama nigdy, ale skinieniem głowy dziękowała za te ciepłe spojrzenia i przechodziła zostawiając jasną smugę światła za sobą.

Nie zważano, że była bladą. To jej się często przytrafiało! Otworzyła drzwi i przywołała nauczycielkę, aby ją pochwalić, że wszystko jest w porządku i dać jej szybkie rozkazy na przyszłość, jakby dalej nie miała tu sama zarządzać.

W dziedzińcu zatrzymała się zmęczona, odetchnęła i udała się do oddziału małych przestępców.

Tutaj oczekiwano na nią z niecierpliwością.

Nauczyciel nie karał ani nagradzał, dopóki nie potwierdziła kary lub nagrody.

Tego dnia chodziło o karę.

Pewien chłopiec sześcioletni, ulicznik paryzki przybyły tu przed pół rokiem, buntował się ciągle i nie zważał na żadne rady i przestrogi. Dziś znów wsadzonym został do karceru, który dopiero po oznaczonym czasie i przeproszeniu miał opuścić. Gdyby nie chciał przeprosić, miał być surowiej ukaranym.

Zdarzało się to rzadko; tym razem zdawało się to nieuniknionem.

Wszystko to się stało podczas ręcznej pracy chłopczyków.

Pan de Rosey, chociaż nie zmuszał do tych zajęć przeznaczył jednak półtory godziny na pracę stolarską. Było to doskonałem ćwiczeniem ciała i nadawało dzieciom pewnej zręczności, w pewnych razach mogła im się przydać czy to w gospodarstwie czy w innem zajęciu.

Mały niegodziwiec uwięziony, pierwszy raz tego dnia pochwycił za młot, aby uderzyć nim w głowę jednego ze swych kolegów.

Kolega lekko raniony leżał w pokoju chorych. Gdyby koledzy mieli byli go sądzić, byliby pewnie potępili złośnika.

Za wejściem pani Bardin, dłuta młoty świdry zatrzymały się w ruchu, jak w szwalni igły. Pewien szmer okazał pani Bardin, że jej tu oczekiwano. Na wszystkich twarzach zawitał uśmiech radośny. Sprawiedliwa przełożona zapytała co zaszło. Nauczyciel opowiedział, że Thibault niepoprawny malec, uderzył i zranił kolegę, że w ogóle nie można zatrzymać go w zakładzie, bo jego gwałtowny charakter jest złym przykładem.

— Biedny malec! — szepnęła pani Bardin.

Pierwszy raz ta sprawiedliwa opiekunka zadziwiła, nie śmiem powiedzieć zgorszyła, tych, co ją uwielbiali.

Weszła do pokoju, w którym przestępca siedział zamknięty. Siedział skurczony w kącie z założonemi rękoma, z posępną twarzą, jak owego dnia, gdy go pod mostem schwycono. Patrzał na drzwi, wyczekując dozorcy, gotów go ukąsić, drapać, gryść.

Pani Bardin znała go. Nie miał matki a jego ojciec, dobrze się znał z policją i domem poprawy.

— Powstań! — powiedziała do niego łagodnie.

— Na co — zapytał niegrzecznie.

— Aby pójść zemną.

— Dokąd? do więzienia?

— Nie, do parku; potrzeba ci świeżego powietrza.

Dziecko sądziło, że żartują sobie z niego. Był to prawdziwy typ paryski; gotów zarówno do oporu, do głupstwa, jak do gwałtu i złośliwości. Wstał spoglądając podejrzliwie; ale gdy zobaczył, że pani Bardin jest samą i niema nikogo do pomocy, pomyślał, że się go boi i że chce łagodnością go pozyskać, to podobało mu się, wydając mu się śmiesznem. Chciał więc zabawić się słabością przełożonej.

Jednym susem był przy drzwiach, poprawił ruchem paryskim swoją bluzę pogniecioną, przygładził ręką swe krótko przystrzyżone włosy a biorąc się pod boki zawołał:

— No, jestem gotów!

— Wiedziałam dobrze, żeś posłuszny! — powiedziała spokojnie pani Bardin.

Wyciągnęła do niego rękę. Zawahał się, spojrzał na swoje żylaste ręce, niby namyślał się którą z nich podać, nie śmiejąc może dać tę, którą uderzył a jednak w końcu tę samą wyciągnął. Pani Bardin pochwyciła ją swoją miękką dłonią jak matka prowadząca syna, zamyślona, spoglądając na drzewa krzewy, które znała a które brała na świadków. Zatrzymała się przy ławce gdzie zwykle szukała spokoju; usiadła i przyciągając do siebie chłopca, który spoważniał cokolwiek, rzekła do niego, spoglądając nań błagalnie:

— Proszę cię, moje dziecko, przestań być złym.

Thibault zadziwił się. Chciał się rozśmiać, ale tylko wykrzywił usta; owe oczy niebieskie onieśmieliły go. Krnąbrna twarzyczka zarumieniła się.

— Chciałabym cię zrobić dobrym nie tylko na dziś, ale na zawsze — mówiła pani Bardin. — Wiem dobrze, żeś temu nie winien, żeś gwałtowny; nie nauczono cię być dobrym; nie miałeś matki... A więc ja, moje

dziecię, miałam syna którego straciłam. Chciałabym cię widzieć takim, jakim chciałabym widzieć mego syna; wyobraź sobie, że to twoja matka z tobą mówi.

Thibaultowi zabłysły oczy. Bardzo ładnemi zdawały mu się te wyrazy i uważał, że tylko w ten sposób do niego mówić należy.

Spokojnie, łagodnie, z uczuciem mówiła dalej pani Bardin doń, jak do swego dziecka, o skutkach jakie złość sprowadza. Nie łajała go, ubolewała tylko nad nim; mówiła mu o swoim synu, gdyby nie był umarł, jakby był wzorem, który powinien naśladować. Wypytywała go o dawne jego życie, biedę. Nazywała go: „moje dziecię“ takim głosem, że Thibault myślał, że mówi: „mój synu.“ Okazała mu tyle dobroci, że chłopiec rozczulił się, padł w końcu przed nią na kolana, płacząc, całując jej ręce i przyrzekając poprawę.

— Ah! nie umiem ci wypowiedzieć — mówiła ściskając go — jaką mi radość sprawiasz. Gdybym ztąd odjechać miała, choćbym umarła, wszak dotrzymasz słowa, wszak prawda — jak mężczyzna?

— Tak, pani.

— Wiedz zatem, że sprawiłeś mi wielkie szczęście, jakiego nie mam, nigdy mieć nie będę, bo nie będę już matką, ty zatem odziedziczasz część serca mego. Czy rozumiesz mnie?

— Tak, rozumiem.

— Chodź teraz, jestem dumną z ciebie.

Siły jej wyczerpały się tym dobrym uczynkiem. Tak się wysiliła, że sama czuła się złamaną, i gdy chciała powstać z ławki musiała zaczekać cokolwiek.

Thibault patrzał na nią z religijnym zachwytem. Namyślał się, coby mógł zrobić dla niej.

— Czy mam zawołać kogo? — zapytał widząc ją tak słabą.

— Nie, dziękuję. Ty mi pomożesz; oprę się na tobie.

Odzyskała siły i wyszła z parku, wspierając się ręką, która coraz lżejszą się stawała na ramieniu chłopca, który prostował się, aby ją podpierać. Zdawali się być matką i synem, żegnającemi się z sobą.

Ulicznik był pokonany, pozyskany na wieki serdecznością i miłością, których zasługę sobie przypisywał. Nie przyznawał się, że był dumnym, ale myślał sobie, że dotąd nikt razem znim nie płakał, że to zatem był wielki tryumf dla niego bo wyróżniał go od innych; pani Bardin płakała nad nim.

Zaprowadziła go do innych dzieci mających rekreacją; tam jak bohater, jak ulicznik wchodzący na barykady z chorągwią, przeprosił nauczyciela i udał się do kolegi chorego, aby go także przeprosić i przyprowadzić z sobą.

Już nie było mowy o raporcie do pana de Rosey, owszem prawie zazdroszczono temu niegodziwcowi, i najlepsi żałowali że nie są złymi, aby mogli pójść na poprawę do pani Bardin.

Aż do nocy zajęła się wszystkiemi swemi obowiązkami; zwiedziła każdy zakątek, nie mówiąc dla czego, ale jakby obecność prezydenta była powodem tej inspekcji ogólnej; po trosze oswajała się z myślą, którą powzięła stanowczo.

Wieczorem, po kolacji, gdy dzieci pokładły się, chodziła długo po wszystkich sypialniach, spojrzała na każde łóżeczko, kazała spać, gdy jaka główka się uniosła, aby jej dobranoc powiedzieć, ona popieściła ją łagodnie i oczka się kleiły.

Gdy przekonała się o ciszy ogólnej, weszła do swego pokoju, usiadła przy biurku i zaczęła pisać.

Naprzód napisała sprawozdanie ze swych obowiązków. Każde z dzieci miało swoją rubrykę, dobrych uczynków zapisanych pod „kredytem“ i przekroczeń, notowanych pod „deficytem.“ Zrobiła obrachunek i dodała swe uwagi i rady, które były potrzebne do dalszego prowadzenia wychowańców.

Uskuteczniwszy to, zamknęła cicho wielką księgę, ostrożnie jakby coś żywego w niej się zawierało. Oparła się na niej i rozmyślała.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W OBRONIE OJCZYZNY.

OPOWIADANIE Z WOJNY 1870 ROKU

PRZEZ GRANVILLE-MURRAY.

(Ciąg dalszy).

Pomimo tego jednak ofiarował on znaczne sumy na organizację armij, w powodzenie których nie wierzył. Bez wątpienia sam przyłączyłby się do tych armij, gdyby mu nie przeszkadzała noga kulawa, od rany otrzymanej w pojedynku przed dwudziestoma laty. Oświadczył on również gotowość bronienia swego zamku, lecz musiałby chyba sam jeden z córką dokonać dzieła obrony, które cała służba nazwała szaleństwem. Książę chciał wznieść barykady. Jeden tylko stangret — anglik, z zimną krwią oświadczył, że gotów jest walczyć, lecz zarazem dodał, że nie widzi w tem żadnych praktycznych następstw.

Na szczęście dla Lilii, rozliczne zajęcia powoływały ją do życia, pomogły one zatrzeć nieco, na chwilę chociaż, okropne wrażenia doznane przed chwilą.

Nie wierząc w prawdziwość rozsiewanych wieści o grabieżach, rabunkach, o gwałtach ze strony prusaków, książe postanowił przyjąć ich godnie, jako walecznych nieprzyjaciół, ztąd też Lilia musiała zobaczyć, czy są przygotowane pokoje na ich przyjęcie. Dla siebie i dla córki pozostawił książę dwa skromne pokoiki w oddalonej części pałacu.

Później, przywdziawszy biały fartuszek, Lilia udała się do oficyny, w której urządzono tymczasowy lazaret. Znajdowało się tam kilku żołnierzy ranionych w bitwie pod O.

Pomiędzy ranionymi żołnierzami ochotnikami znajdował się i brat cioteczny Lilii, margrabia Albert.

Blady ów margrabia był bardzo bogaty, miał lat dwadzieścia ośm, a podczas błogich dni cesarstwa nie myślał o niczem, oprócz o wyścigach konnych. Zawsze można go było spotkać w Chantilly lub New-Market z monoklem w oku i książeczką do zapisywania zakładów w ręku. Konie jego biegały na wszystkich wyścigach, a chociaż rzadko kiedy zdobywały nagrody, okoliczność ta wcale nie zmniejszała jego namiętności do sportu.

Taki stan rzeczy trwał aż dotąd, gdy raz przyjechawszy do Brossac, ujrzał uroczą kuzynkę, której wdziękami został olśniony.

Skutkiem tego olśnienia wyprzedał konie, spalił książeczkę do zapisywania zakładów i prosił starego księcia o rękę córki.

W tem stadjum zastała go wojna. Przypuszczając z początku, że armia francuzka z łatwością zdusi prusaków — nie wstępował do wojska, lecz po bitwie pod Worth, kiedy rząd zwrócił się do wszystkich francuzów z żądaniem pomocy, Lilia rozkazała mu aby wstąpił do armii jako ochotnik...

W milczeniu poddał się rozkazowi tej, na której skinienie gotów był rzucić się na nieprzyjacielskie armaty.

Bił się pod Sedanem, tam wzięty został do niewoli, zkąd jednak zdołał uciec. Później przystał do jednej z armij prowincjonalnych i okazał tyle osobistej odwagi i męztwa, że Gambetta ofiarował mu order i tytuł pułkownika. Order margrabia przyjął, tytuł odrzucił. W bitwie pod O. kula z bawarskiego sztucera zmiażdżyła mu kość w ramieniu i przerwała na jakiś czas wojskową karjerę młodzieńca.

Gdyby młody ochotnik znajdował się w zwykłym lazarecie, opłakiwałby zapewne gorzko swój los, tu wszelako w zamku de Brossac godził się chętnie ze swem położeniem. Rana nie groziła życiu, a do zupełnego wyzdrowienia potrzeba było tylko spokoju i wypoczynku.

Po całych dniach leżał on na sofie i czytał romanse, gdy kuzynki lub wuja nie było w jego pokoju. Właśnie i teraz zajęty był czytaniem, gdy weszła Lilia niosąc lekarstwo, w którego skuteczność cudowną pacjent wierzył — gdyż przyrządzała je własnemi rękami.

W czarnej wełnianej sukience, bez żadnych błyskotek i ozdób, Lilia Brossac uważaną być mogła za ideał siostry miłosierdzia. Leciutko i powoli przeszedłszy przez pokój postawiła lekarstwo na stoliku u węzgłowia chorego i zapytała go pieszczotliwym głosem.

— Jakże się czujesz dzisiaj kuzynie?

Ujrzawszy ją, chory położył książkę, rzucił daleko papierosa od siebie i rzekł:

— Zawsze jest mi lepiej wtedy kiedy przychodzisz, a gorzej gdy się ztąd oddalasz... Lecz co to jest, kuzynko? masz oczy zaczerwienione, płakałaś?

— Tak, płakałam — odrzekła z ciężkiem westchnieniem nalewając lekarstwo — wypij to kuzynie, proszę cię, ma to być bardzo przykre w smaku, lecz doktor utrzymuje, że będziesz po niem spał doskonale.

Ranny wypił szkaradną miksturę mówiąc, że jest daleko lepszą od starego burgunda.

W chwili gdy chory zażywał lekarstwo, Lilia machinalnie wzięła do ręki książkę, leżącą na stoliku. Spojrzała na tytuł i położyła ją napowrót na swojem miejscu. Był to jeden z bardzo popularnych utworów Teofila Gautier.

— Bajeczki! kuzynie, bajeczki — rzekła z wyrazem gorzkiej ironii — nie wiedziałam, że w takiej chwili możesz je czytać?

Ranny spojrzał na nią z podziwieniem.

— To Gautier, kuzynko — odrzekł, nie zrozumiawszy dobrze o co rzecz idzie.

— Ah! czytać powiastki wówczas, gdy nieprzyjaciel zajął nasz starożytny O., gdy jest na drodze do zamku. Z boleścią widzę, że nowożytne teorje głęboko się już zakorzenić musiały, kiedy taki człowiek jak ty kuzynie, obojętnie spoglądać może na zgubę i upadek ojczyzny.

Ranny zarumienił się i odpowiedział nieśmiało.

— Nie bądź tak surową względem mnie, kuzynko. Podczas twojej nieobecności, czas się tak powoli wlecze, że potrzeba go zabić czemkolwiek. A przytem niewielem przeczytał, na trzeciej stronicy jestem zaledwie... czytam ale myślę o czem innem...

— Zawsze i ciągle powinieneś myśleć o dniu zemsty za nasze poniżenie obecne. Odrzuciłeś rangę pułkownika mówiąc, żeś nie zasłużył na nią, jeśli masz istotnie takie przekonanie to postąpiłeś szlachetnie. Lecz dla czego nie zasłużyłeś na nią? dlaczego nie możesz tego uczynić teraz? O! gdybym była mężczyzną, nie znalazłabym ani chwili wytchnienia, aż dotąd, dopóki nie nauczyłabym się taktyki wojskowej i języka naszych wrogów, — dopóki nie byłabym zupełnie przygotowaną do odwetu.

Milczeli oboje.

Młody ochotnik smutnie spoglądał na swoją obandażowaną rękę.

— Wiem — rzekł po chwili milczenia — że jestem synem słabego pokolenia, ale ty siostro powinnaś mnie krzepić. Wykonam wszystkie twe rozkazy, nie otworzę żadnej lekkiej książki, dopóki nie wyuczę się doskonale języka niemieckiego i taktyki pruskiej.

— O! gdyby wszyscy francuzi zrobili tak samo — zawołała z zapałem panna de Brossac — to w przeciągu lat pięciu uregulowalibyśmy nasze rachunki za Renem.

— Być może, że francuzi uczyniliby to — rzekł ranny — ale w takim razie gdybyś ty rządziła nimi kuzynko.

To mówiąc ujął jej rękę i okrywał pocałunkami.

W tej chwili ktoś zastukał do drzwi, Lilia cofnęła rękę pospiesznie.

Do pokoju wszedł służący, ten sam, którego widzieliśmy na koźle książęcej karety.

Był to jeden z owych dawnych służących francuzkich którzy odziani w niezgrabne liberje obchodzą się ze swymi chlebodawcami w jakiś dziwnie poufały, protekcjonalny sposób. Służąc księciu Bóg wie od wielu lat, stary Baptysta rad był odgrywać rolę starożytnego chóru w tragedji i do wszystkiego wtrącał swoje trzy grosze. Przed wojną wszyscy sądzili, że Imć pan Baptysta zdolny był do nadzwyczajnych poświęceń, w smutnym czasie nieszczęść okazało się jednak, że jakkolwiek mąż ten był bardzo przywiązany do księcia, jednak czuł daleko więcej przywiązania dla kogoś innego — a mianowicie — dla siebie. Nie przypuszczał on jednak aby ktokolwiek podejrzywał jego życzliwość do domu de Brossac, i obecnie, jak zawsze zresztą odezwał się do Lilii, krytykując rozkazy swego pana.

— Książę prosi pani — rzekł — abyś raczyła zejść na dół i pomogła mu podejmować prusaków. Wyobraź sobie pani, że książę chce urządzić tym ludożercom wzorowe przyjęcie! Tego już zawiele, to też powiedziałem ojcu pani, że jeżeli mam oglądać prusaków, to lepiej zamknę się w kuchni i nie wyjdę ztamtąd przez sześć tygodni. Książę chce im oddać klucze od całego domu i prosić ich aby mu pozwolili nie wychodzić ze swego pokoju. Otóż masz! prosić ich o pozwolenie! a któż to jest panem tego zamku, my czy oni? Powiedziałem też księciu: oj! złe, złe nastały czasy, kiedy ja stary sługa tego domu, odbieram podobne rozkazy! Książe na to rzekł, abym się nie wtrącał w to co do mnie nie należy a kazał prosić pani, abyś raczyła przyjść zaraz. Oddział oficerów jest już w alei, widziałem ich... tych ludożerców, wyglądają jak bałwany.

— Dość tego, milczeć — krzyknęła Lilia z pogardą — mógłbyś co mówić przeciw tym ludziom, gdybyś miał odwagę walczyć z nimi. Teraz wiedz o tem, że tchórze bojący się walki powinni posługiwać swym zwycięzcom jak niewolnicy. Podczas przebywania prusaków w tym domu, będziesz im służył z największym szacunkiem. Jeżeli zaś chcesz zamknąć się w kuchni, to wolno ci to zrobić, chciej tylko sobie wybrać jaką inną kuchnię nie tę, która znajduje się w zamku de Brossac.

Uderzenie szpicrutą nie dotknęłoby Babtystę bardziej od tych słów pełnych pogardy. Otworzył usta chcąc coś odpowiedzieć, ale spotkawszy się ze wzrokiem Lili zamilkł i dopiero gdy wyszła z pokoju, przemówił:

— A zbójcy! zbrodniarze! oni to tego wszystkiego narobili. Gdyby nasza armia walczyła jak należy! lecz teraz żołnierze to zające! tchórze! O za naszych czasów bywało inaczej — mruczał, zapominając o tem, że w pokoju znajduje się ranny żołnierz i słucha tej rady z pogardliwym uśmiechem.

W pół godziny potem w sali zamkowej odbywała się scena, jakiej nie widziały jeszcze nigdy ściany tego zamku, ani portrety przodków spoglądające jakby ze zdumieniem ze swoich ram złoconych.

Książę ubrany czarno w towarzystwie córki swej stał przy stoliku na którym leżało kilka massywnych ciężkich kluczy.

Poza księciem stała uszykowana w półkole służba pałacowa a w drzwi wchodzili oficerowie, których ciężkie kroki i brzęk szabel rozlegały się po marmurowej podłodze.

Oficerowie zbliżając się do zamku nie byli spokojni. Nie wiedzieli jakie przyjęcie ich spotka, a jakkolwiek przygotowani byli pokonać przez siłę wszelki opór czynny lub bierny, woleli jednak nie mieć żadnych zajść z tak poważnym człowiekiem jak książę.

Lecz uspokoili się wkrótce. Książę przywitał ich pełnym powagi ukłonem, na który panowie ci odpowiedzieli przez przyłożenie ręki do kasków.

— Szanowni panowie — rzekł książe głośno i po francuzku — okoliczności wojny wprowadziły was jako zwycięzców pod ten dach, pod którym w każdym innym razie radbym was powitał jako gości. Nie będę wam przeszkadzał swoją obecnością podczas bytności waszej w tym domu, i wraz z córką upraszam panów abyście nam pozwolili nie wychodzić z naszych pokojów. Zresztą cały zamek pozostawiam do rozporządzenia panów. Kamerdyner mój otrzymał rozkaz, aby wszystkie żądania panów były natychmiast spełnione i on odda wam klucze od wszystkich drzwi. Lecz ten klucz — dodał wyjmując z kieszeni niewielki kluczyk stalowy — otwiera drzwi galerji naszych pamiątek rodzinnych pozwolisz panie generale że złożę go w twoje ręce.

I posunąwszy się o krok naprzód, książę podał oficerowi najstarszemu rangą. Ten obracał chwilę klucz w ręku, jakby nie wiedział co ma z nim robić, zaczerwienił się, lecz klucz jednakże schował do kieszeni.

Podczas tej sceny była taka cisza, że można było słyszeć lot muchy.

Nareszcie książę podał rękę córce i wyszedł z pokoju. Oficerowie stanęli w dwa rzędy i salutowali go po wojskowemu.

Kiedy już książę z córką był we drzwiach, jeden z oficerów wziął ze stołu maleńką rękawiczkę i podając ją Lilii de Brossac, rzekł po francuzku.

— Zapomniała pani wziąść rękawiczki.

Podziękowała mu skinieniem głowy i spostrzegła, że był to ten sam oficer, którego widziała przed południem.

Na twarzy jego malował się ten sam wyraz, który jej się tak niepodobał poprzednio. Teraz twarz ta nie była dla niej wstrętną, a biorąc rękawiczkę Lilia zauważała, że ręka młodego człowieka drżała a w oczach jego błyszczały łzy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

ROZBICIE OKRĘTU.

Okręt włoski *Ortigia* płynąc do Liworno, rozbił się dnia 24. listopada około Spezzia.

Naoczny świadek tak to opisuje:

Odbywaliśmy drogę spokojnie, pod dobrą wróżbą, bo pomyślny wiatr od samego początku nam sprzyjał. Morze było spokojne, a chociaż na niebo występowały coraz gęściéj czarne chmury, nic nie groziło — wszystko szło jaknajpomyślniej. Okręt czując się niedaleko zatoki Spezzia popłynął szybciej, lekceważąc ciemności wieczorne — liczne ognie, błyszczące w domach i chatach wiejskich ponadbrzeżnych, drogę morską i zatokę dobrze rozświetlały.

Najmniejszy hałas nie niepokoił ciszy nocnej, tylko fale, uderzając regularnie o boki okrętu, dawały znać że morze żyje. Wszyscy podróżni używali wywczasu, spiąc smacznie prócz kilku przechadzających się po pomoście, i załogi okrętowej ze sternikiem.

Nagle, około godziny trzeciej zrana, wszyscy doświadczyliśmy nagłego wstrząśnienia, po którem nastąpiło przeciągłe trzeszczenie; w końcu okręt stanął i począł się chybotać, wydając głuche skrzypienia.

W okamgnieniu podróżni znaleźli się na pomoście; panika porwała wszystkich, krzyki desperackie napełniły powietrze. Najstraszniejsze krzyki wychodziły z przodu okrętu, gdzie się oczy wszystkich skierowały — widok był straszny.

Wuj Józef, okręt z kompanii Walery, został rozpłatany na dwie prawie równe połowy; okręt *Ortigia* dokonał tego dzieła zniszczenia, nie mogąc cofnąć się w chwili kiedy *Wuj Józef* z impetem, prostopadle nasadził się bokiem na niego. Ogień sypiący się z rozbitego kotła straszną iluminacją przyświecał grobowej scenie, a para, wydobywając się gwałtownie różnemi czeluściami, świszczała przeraźliwie. Okręt francuzki w okamgnieniu był tylko szczątkiem, na którym z desperacją wyrywali się śmierci podróżni, których było przeszło trzystu.

Nie upłynęło dwóch minut jak wszystko znikło pod wodą — i tylko piana wzburzona wskazywała jeszcze miejsce, gdzie okręt zatonął. Pośród tej piany setki istot żywych walczyło ze śmiercią, chwytali się jedni drugich, wydawali krzyki rozpaczy, i kupili się w grona topielców, których nikt już nie mógł wyratować; — po chwili takich męczarni tonęli.

Był to widok okropny! Tylu nieszczęśliwych zawieszonych nad głębią morską, schwytanych przez śmierć podczas snu, podczas marzeń może o domu, o najdroższych, a potem napróżno szukających ręką i zaklęciem jakiegokolwiek ratunku...

Krzyki mężczyzn mieszały się z jękiem kobiet, które wzywały po imieniu swych mężów, swe dzieci. Szalony wir wody, wywołany zatonieniem okrętu, nie pozwalał nam zbliżyć się do nieszczęśliwych, aby nieść im pomoc. Pomimo wielkiego niebezpieczeństwa spuściliśmy szalupy, które walcząc z wirami popłynęły na ratunek. Ale przeszkody były nieprzezwyciężone; byliśmy o kilka metrów od rozbitków, skupionych po kilkudziesięciu w straszną masę ludzkiego ciała, a nie mogliśmy dać im skutecznej pomocy.

Powoli jednak fale się uspakajały, dostęp stawał się możliwym; widzieliśmy tu i owdzie ciała wyrzucane po nad wodę, lub zanurzone w jej głębi — ręce nieszczęśliwych już sterczały bezsilnie, oczy patrzyły w wieczność, już nie dbali o ratunek. Udalo nam się wyratować sześćdziesiąt osób, pomiędzy niemi najwięcej kobiet.

Ratowaliśmy długo, i kiedy okręt nasz rozpoczął znowu dalszą drogę ku Liworno, zorza poranna ozłociła miejsce, gdzie tylkoco odegrał się straszny dramat. Okręt nasz także ucierpiał — potrzebował naprawy. *Wuj Józef* należał do mniejszych statków; pakunku miał nie wiele ale zato wiózł 264 podróżnych i 33 marynarzy; zginęło w kilku sekundach osób 250, pomiędzy niemi kapitan. Najwięcej było wieśniaków z południowych Włoch, jadących do Ameryki po chleb i złoto. Wyratowaliśmy ich dzieci i żony — los których może gorszy będzie niż spokój ojców w łonie oceanu.

MILCZĄCA UCZTA.

Czytamy w jednym z dzienników francuskich opis szczególnego rodzaju uczty, mogącej posłużyć jako ważny dowód, że człowiek jest w stanie zapanować nad naturą.

„Zeszłéj niedzieli około 200 osób poschodziło się kolejno do restauracyi Berthiera na bulwarze św. Germana. Każda z nich pokazawszy bilet i uczyniwszy jakieś tajemnicze znaki, została wpuszczoną do sali, naprzód już odpowiednio urządzonéj. W téj sali panowało jak najzupełniejsze milczenie, zgromadzeni goście porozumiewali się między sobą za pomocą znaków. Byli to głuchoniemi zebrani z całego Paryża: malarze, rzeźbiarze, literaci, poeci, urzędnicy i wyrobnicy, którzy jako prawdziwi bracia niedoli, bez różnicy stanu, zebrali się razem na obchód rocznicy urodzin księdza de l'Epée, swego najpierwszego nauczyciela.

Ich mowa za pomocą znaków jest tak udoskonaloną, że na uczcie nie zabrakło ani jednego z owych żywiołów, będących duszą podobnych zebrań. Podczas wetów kilku z nich odezwało się z przemowami, które wywołały ogólne oklaski. Jeden młody poeta z głębokiem uczuciem, zachwycając całe zgromadzenie, odczytał utwór swego pióra, któremu, nie obawiając się groźnego poprzednictwa Lamartine'a, nadał tytuł: „Jezioro Lehman, wspomnienie z podróży po Szwajcaryi."

Śpiewano nawet, ale śpiewano na sposób głucho-niemych. Jeden siwo-włosy głucho-niemy, którego młodość kwitła w lepszych czasach, wyśpiewał kilka wesołych piosenek za pomocą mimiki rytmicznej.

Wieczór ten zakończył się jedną z najmilszych niespodzianek. Nagle podniosła się ogromna zasłona, ukrywająca scenę urządzoną na podwyższeniu w głębi sali, i ukazali się oczom widzów głuchoniemi aktorzy-amatorowie, ubrani i ucharakteryzowani przewybornie. A jakiż był przedmiot sztuki? Oto grano Molierowską komedyą: „Chorzy z przywidzenia". Każdy grał znakomicie swoją rolę, żaden z nieocenionych dowcipów téj nieśmiertelnéj farsy nie został straconym.

O SZCZEGÓLNIEJSZYM WYPADKU LETARGU.

Zaledwie do wiary podobnym, opowiada jeden z dzienników bukaresztcńskich: W gminie Roteszti pod Buzen, gdzie od dłuższego czasu panuje epidemicznie ospa, umarła niedawno na tę chorobę jedynaczka bardzo zamożnych rodziców. Stosownie do zarządzenia władzy, pogrzeb odbył się wkrótce po skonstatowanym zgonie. Rodzice dali jedynaczce swojej, która już była narzeczoną, najlepsze suknie i kosztowności do trumny, pomiędzy którenii zwrócić musiał uwagę tych, którzy odwiedzali nieboszczkę, suty naszyjnik z monet złoconych. Po złożeniu trumny w grobie, jeszcze tego samego dnia, trzej złoczyńcy oczekiwali tylko nocy, ażeby odkopać grób i zagrabić wspomniony naszyjnik. Po otworzeniu trumny złoczyńcy nie mogąc inaczej zdjąć naszyjnika, pochwycili trupa za głowę i wstrząsnęli nim, a wtedy mniemana zmarła otworzyła nagle oczy i ujrzawszy, o co chodzi zbrodniarzom, chciała sama oddać im naszyjnik, byle tylko darowali jej życie. Ci jednak tak się przestraszyli, że wyrzekając się łupu, uciekli coprędzej z cmentarza. Zmartwychpowstała dziewczyna o własnych siłach zdołała dowlec się do wsi i odzyskała wkrótce zdrowie.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W Maniecki.